

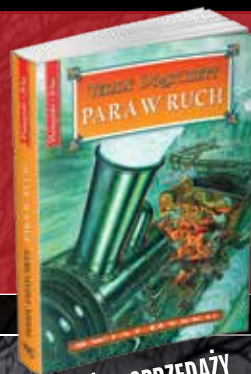
NIE TYLKO GIGER – MALARZE KINA FANTASTYCZNEGO

NOWA Fantastyka

07 (382) 2014

MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI

CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)



JUŻ W SPRZEDAŻY



WWW.FANTASTYKA.PL

INDEKS 358398



PRÓSZYŃSKI
MEDIA

"American Horror Story: Freak Show"
© 2014 FX Networks

FANTASTYCZNY ŚWIAT
– **BRAZYLIA** cz.1

DUŃCZYCY
Z LAMUSA

PROZA:
BACIGALUPI
ZBIERZCHOWSKI
BEAR
RUSZKIEWICZ
KURZAWA
NOWINA

AMERICAN HORROR STORY

NAWIEDZONA AMERYKA

GROZA MAŁYCH MIASTECZEK



04

„American Horror Story” miało być dziełem łączącym różne tradycje ekranowej grozy, ale równie chętnie zonglującym konwencją filmu młodzieżowego, opery mydlanej, thrillera psychologicznego, SF oraz czarnego kryminału.



07

Elvis żyje i mieszka po sąsiedzku, telewizor odbiera przekaz z innego wymiaru, a okolicę nawiedza bezgłowy duch? Nie dziwcie się niczemu, to tylko niektóre tajemnice jakie ukrywają małe amerykańskie miasteczka.



10

H.R. Giger nie był jedynym malarzem, który odcisnął piętno na kinie. Bez Hoppera nie przerażałby nas Bates Motel. Norman Rockwell wywarł wpływ na „Indianę Jonesa”, a bez Goi nie byłoby wyobraźni Guillermo del Toro.



65

Koneserzy kina przypomną, że enfant terrible duńskiej kinematografii, Lars von Trier, nakręcił sporo obrazów, które można zaliczyć do fantastyki. Mało kto pamięta, że Duńczycy kręcili takie filmy już w epoce kina niemego.

PUBLICYSTYKA

- 2 ZAPOWIEDZI
- 3 ZASTRZYK PRZYSZŁOŚCI *Mateusz Wielgosz*
- 4 NAWIEDZONA AMERYKA *Przemysław Pieniążek*
- 7 MAŁE MIASTA, DUŻY STRACH *Andrzej Kaczmarczyk*
- 10 KINO JAK MALOWANIE *Robert Ziębiński*
- 14 FANTASTYCZNY ŚWIAT: BRAZYLIA CZ.1 *Marek Grzywacz*
- 63 CENZOR, TWÓJ BRAT CZ.1 *Maciej Parowski*
- 65 DUŃCZYCY Z LAMUSA *Agnieszka Haska, Jerzy Stachowicz*
- 72 SŁUSZNA SŁUSZNOŚĆ *Rafał Kosik*
- 73 ODRODZENIE ANALOGOWYCH ANTYKÓW *Peter Watts*
- 78 MIŁOŚĆ, SŁOWO MAGICZNE *Łukasz Orbitowski*

PROZA POLSKA

- 17 RÓŻA WIATRÓW *Cezary Zbierzchowski*
- 29 STARCIE ULTYMATYWNE *Wiktor Ruszkiewicz*
- 36 MMA *Michał Nowina*

PROZA ZAGRANICZNA

- 39 KADRY APOKALIPSY *Paolo Bacigalupi*
- 47 CIEMNE OGRODY *Greg Kurzawa*
- 54 SHOGGOTHY W ROZKWICIE *Elizabeth Bear*

RECENZJE

- 67 KSIĄŻKA 74 FILM 75 KOMIKS



for. J. Luthas

KREATYWNE LENISTWO

Jak wszyscy wiemy, potrzeba jest matką wynalazków. Ja zwykłem dodawać do tego, że lenistwo jest ich ojcem. Nie chciało nam się ruszać z miejsca, więc wynaleźliśmy pilota. Nie chce nam się naciskać przycisków na pilocie, dlatego wynajdujemy aktywację głosem. Nie chce nam się gadać, zatem opracowujemy sterowanie myślami. Ale myśleć też nam się nie chce, więc w tym ludzkość wyręcza sztuczne inteligencje.

Każdy, kto zajmuje się futurologią, powinien brać pod uwagę tę część ludzkiej natury, która prowadzi nas po linii najmniejszego oporu. Rozejrzyjcie się wokół siebie i zadajcie sobie pytanie: jak dużą część naszego otoczenia stanowią przedmioty i rozwiązania stworzone nie dlatego, że były niezbędne, ale dlatego, że komuś zwyczajnie się nie chciało? Można śmiało mówić o kreatywności w służbie lenistwa. U Charliego Chaplina w „Dzisiejszych czasach” przybrała ona formę prototypowego automatu karmiącego. Sześć dekad później znakomicie pokazano ją w teledysku do piosenki „Lazy” duetu X-Press 2 i Davida Byrne’a, gdzie przecież najpierw trzeba było nie lada pomysłowości i pracy, żeby później bohater klipu nie musiał wstawać z kanapy, a tylko pociągał za odpowiednie wajchy. Przynajmniej dopóki coś się nie zepsuło...

Nie jest źle, dopóki lenistwo naszego gatunku idzie w parze z twórczym myśleniem. Jednak projektanci komputerów stawiają sobie jako jeden z celów stworzenie maszyn nie tylko inteligentnych, ale też kreatywnych. Jeśli kiedykolwiek odkryją one lenistwo (na przykład definiując je jako logiczną formę energooszczędności), rolę się odwróci i to my zaczniemy służyć im. Nie-realne? Wystarczy spojrzeć, jak często społeczeństwa pracują na dobrobyt władz, podczas gdy powinno być dokładnie na odwrót. Dlatego nie pozwalajmy sobie, aby lenistwo szło w parze z bezymyślnością.

Zapraszam do lektury!

Jerzy Rzymowski

P.S. Dziękujemy Irinie Pozniak za lata dbania o szatę graficzną „NF”. Witamy na pokładzie Kasię Osowiecką.

W NASTĘPNYM NUMERZE:

Andrzej W. Sawicki
Książniczka i śpiący rycerze

Ken Liu
Odrodzenie

NAWIEDZONA AMERYKA

PRZEMYSŁAW PIENIAŻEK

TWÓRCY SERIALU „AMERICAN HORROR STORY” UDOWODNILI, ŻE MOGNO WYEKSPLOATOWANĄ REKWIZYTORNIĘ FILMOWEJ GROZY WCIĄŻ MOŻNA DOSKONAŁE WYKORZYSTAĆ – TRZEBA TYLKO MIEĆ NA TO POMYSŁ.



Ponoć babcia Ryana Murphy’ego – współtwórcy cieszącego się olbrzymią popularnością serialu „Glee” – sadzała swojego wnuczka przed telewizorem, aby wraz z seansem kolejnych odcinków „Mrocznych cieni” (mydlanej opery grozy) pozbył się dziecięcych lęków przed duchami oraz wszelkimi pomiotami nocy czającymi się w szafie i pod łóżkiem. W rezultacie przyszły scenarzysta, reżyser i producent zapalał szczerą miłością do horroru, dzięki której po latach z łatwością nawiązał nić porozumienia z filmowcem Bradem Falchukiem. Pomysł na wymykający się schematom serial z dreszczykiem zrodził się w głowach duetu jeszcze przed rozpoczęciem prac nad perypetiami rozpiewanych nastolatków. Ale to właśnie dzięki hitowi zrealizowanemu dla stacji Fox panowie uzyskali spory kredyt zaufania.

Poczęciu „American Horror Story” przyświecał konkretny cel: miało być dziełem łączącym najróżniejsze tradycje ekranowej grozy (ghost story, gore, slasher, torture porn), ale równie chętnie żonglującym konwencją filmu młodzieżowego, opery mydlanej, thrillera psychologicznego, SF oraz czarnego kryminału. Rezygnując z formatu telewizyjnej antologii – każdy sezon to jedna zamknięta opowieść – autorzy zaproponowali wielowątkowe historie mające w równym stopniu wciągnąć widza w inteligentną grę ze skojarzeniami, co wywrócić na nice jego oczekiwania, zbulwersować, naruszyć emocjonalny komfort i (przede wszystkim) napędzić niezłego stracha.

Twórcy serialu przekraczając granice pastyszu. Wprowadzając ambiwalentnych bohaterów, bawią się narracyjnymi technikami (dynamiczny montaż, nagłe zmiany czasoprzestrzeni, dźwiękowo-wizualne dysonanse, psychodeliczna czołówka przemycająca wskazówki co do dalszego rozwoju fabuły), a całość doprawiają posoką, ohydą i perwersją. Uwodzicielskie duchy, fantom w lateksowym kostiumie bondage, seryjni mordercy, kosmici, siły piekielne, żywe trupy, czarownice i zgniłe owoce bluźnierczych



MAŁE MIASTA, DUŻY STRACH

ANDRZEJ KACZMARCZYK



ELVIS ŻYJE I MIESZKA PO SĄSIEDZKU, TELEWIZOR ODBIERA PRZEKAZ Z INNEGO WYMIARU A OKOLICĘ NAWIEDZA BEZGŁOWY DUCH? NIE DZIWCIE SIĘ NICZEMU, TO TYLKO NIEKTÓRE TAJEMNICE JAKIE UKRYWAJĄ MAŁE AMERYKAŃSKIE MIASTECZKA.

Historie o położonych na odludziu, pozornie idyllicznych miejscowościach, w których na przybysza z zewnątrz czyhają liczne niespodzianki i wszelkiej maści siły nieczyste, nie są niczym nowym. Różne wariacje na ten temat znaleźć można u Stephena Kinga, H.P. Lovecrafta (choć w takim Innsmouth nawet pozornej idylli nie uświadczymy) czy nawet Philipa K. Dicka w jego „Kosmicznych marionetkach”. W istocie, pierwsza z takich opowieści ma już niemal dwieście lat i jest dziełem pierwszego amerykańskiego pisarza, który twórczość literacką uczynił swoim jedynym źródłem utrzymania.

PIERWSZE STRASZYDŁO AMERYKI

„Legenda o Sennej Kotlinie” Washingtona Irvinga ukazała się po raz pierwszy w 1820 roku, w ramach zbioru „Szkicownik”. Głównym bohaterem opowiadania jest Ichabod Crane, który przybył do Tarry Town by pracować jako nauczyciel w lokalnej szkole. Okolice miasta, a zwłaszcza tytułowa Kotlina (oryg. **Sleepy Hollow**), słyną z wielu historii o duchach i niesamowitej atmosfery – niektórzy twierdzą, że kotlina została zaczarowana przez jednego z pierwszych osadników lub indiańskiego szamana. Najstraszniejszym z nawie-

dzających region upiórów jest bezgłowy jeździec, widmo jednego z niemieckich najemników walczących po stronie Anglii w czasie Amerykańskiej Rewolucji, który stracił głowę w bitwie nieopodal Tarry Town.

Opowiadanie kończy się szaleńczym pościgiem ducha za nieszczęsnym Ichabodem; później nigdy już biednego pedagoga nie widziano. To, czy rzeczywiście dopadła go zjawa, czy może przesądny nauczyciel padł ofiarą trywialnego podstępu, Irving pozostawił kwestią otwartą, skłaniając się raczej ku temu drugiemu. Mimo to „Legenda...” stała się archetypem amerykańskiej historii o nawiedzonym miasteczku, podstawą wielu adaptacji i inspiracją dla niemal każdego autora, który postanowił skonfrontować stworzonego przez siebie bohatera z niezwyklejmi zjawiskami gdzieś na odludziu.

NIC NIE JEST TYM, CZYM SIĘ WYDAJE

Uroczą, małą miejscowość z dala od wielkomiejskiego zgiełku. Mroczne sekrety skrywane przez z pozoru wzorowych obywateli. Spora dawka surrealizmu, i oczywiście do tego wszystkiego siły nadprzyrodzone. Tak w skrócie, można by opisać kultowe „Miasteczko Twin Peaks” Marka Frosta i Davida Lyncha, które zadebiutowało na





ROBERT ZIĘBIŃSKI

KINO JAK MALOWANIE



H.R. GIGER NIE BYŁ JEDYNYM MALARZEM, KTÓRY ODCISNAŁ SWOJE PIĘTNO NA KINIE. BEZ PONURYCH PEJZAŻY EDWARDA HOPPERA NIE PRZERAŻAŁBY NAS BATES MOTEL I NIE BYŁOBY ŚWIATA PRZYSZŁOŚCI „ŁOWCY ANDROIDÓW”. OBRAZY NORMANA ROCKWELLA ODCISNĘŁY PIĘTNO NA „INDIANIE JONESIE”, A BEZ GOI... BEZ GOI NIE BYŁOBY WYOBRAŹNI GUILLERMO DEL TORO.



Dwunastego maja tego roku zmarł **Hans Rudolf Giger**. Kilka chwil po tym, gdy wiadomość ta została upubliczniona, serwisy internetowe i blogi zalała fala wspomnień o „największym malarzu” filmowej fantastyki. Fakt – H.R. Giger był malarzem wybitnym i szalonym. Ale też był twórcą, który bez kina nigdy nie odniósłby tak spektakularnego sukcesu. Dzięki serii o Obcych, świat pokochał mroczne grafiki malarza, a jego potwory dziś straszą kolejne pokolenia wielbicieli popkultury. Czy stałoby się tak, gdyby film Ridleya Scotta nie powstał? Zapewne nie. Kino w przypadku Giger stało się promocyjną dźwignią, która sprawiła, że o ksenomorfach szkicowanych przez niego m.in. w albumie „Necronomicon” usłyszał cały świat. Żeby było zabawniej, potwory, które nieśmiertelniły Gigera, powstały jako... jego autorskie wariacje na temat mitologii H.P. Lovecrafta. Tyle, że fakt, iż obcy wywodzi się z lovecraftowskiej mitologii dziś nie pamięta już nikt.

OŻYWIONE OBRAZY

Zależność między malarstwem a kinem w przypadku Giger jest oczywista i wiadoma. A jak to było w przypadku innych malarzy? Świadomość tego, ile i których wizji filmowych za-



FANTASTYCZNY ŚWIAT – BRAZYLIA

CZĘŚĆ 1

MAREK GRZYWACZ

BRAZYLIA JEDNYM
BĘDZIE SIĘ KOJARZYĆ
Z DZICZĄ AMAZONII,
INNYM Z ROZWOJEM
GOSPODARCZYM.
WŚRÓD SKOJARZEŃ
POJAWIA SIĘ PIŁKA
NOŻNA, KARNAWAŁ
BĄDŹ POLICJANCI
TOCZĄCY WOJNĘ
Z PRZESTĘPCZOŚCIĄ
W FAWELACH. LECZ
JAK RÓŻNE OBLICZA
TEGO OGROMNEGO
PAŃSTWA PRZEKLADAJĄ
SIĘ NA LITERATURĘ
FANTASTYCZNĄ?

Uż na samym początku, w XIX wieku i w pierwszych dekadach XX wieku, brazylijskie SF bywało bardzo oryginalne. Geneza fantastyki w tym kraju jest dosyć oczywista, bo zaczęło się od literatury utopijnej oraz fascynacji twórczością Verne'a, ale na jej kształtowanie wpłynęło też zamilowanie Brazylijczyków do nurtu romantyzmu czy zainteresowanie lokalną mitologią oraz wielokulturowością społeczeństwa. Jednym z klasyków literatury, który korzystał z wątków fantastycznych, był **Machado de Assis** (1839 – 1908). Wśród jego opowiadań – a uważa się go za mistrza tej formy – znajdziemy takie, jak „**Cudowna podróż**” („Uma excursão milagrosa”), opis pozaziemskiej krainy chimer, czyli ludzkich wyobrażeń przekształconych w namacalne ułudę; „**Wizyta Alcibiadesa**” („Uma Visita de Alcibiades”) list napisany do komendanta policji w sprawie niewyjaśnionego pojawienia się greckiego filozofa w domu współczesnego miłośnika kultury starożytnej; czy wreszcie „**Nieśmiertelny**” („O imortal”), przedstawiający historię Rui de Leão, który wypił eliksir nieśmiertelności otrzymany od pewnego Indianina, lecz strudzony długim życiem szuka nań antidotum.

ZŁOWIESZCZA NAUKA I AMAZOŃSKI PULP

U Assisa fantastyka była metaforycznym ornamentem. Główny nurt literatury od zarania ją odrzucał, a nawet wymazywał z bibliografii znanych autorów, przez co np. wczesne teksty wybitnego prozaika Guimarães Rosy, inspirowane Edgarem Allanem Poe, a stworzone na przełomie lat 20. i 30., wydano w zbiorze dopiero w 2011 roku. Tymczasem z dala od mainstreamu tworzono dzieła, które wprowadzały ją śmieiej. Świetnym przykładem jest protofeministyczna „**Władczyni Ignoto**” („A Rainha do Ignoto. Romance psicológico”), wydana w 1899 roku przez **Emílię de Freitę**, nauczycielkę i poetkę, będącą też działaczką na rzecz zniesienia niewolnictwa (w Brazylii stało się to w 1888). Fabuła śledzi losy dr Edmundo, obytego prawnika, który w małym miasteczku na Północy natrafia na legendę o odzianej w biel Wróżce z Arere, żeglującej po rzece

Jaguaribe. Jako sceptyk, Edmundo wpada w obsesję zdemaskowania zjawy. W końcu trafia w damskim przebraniu na Wyspę Mgieł, gdzie ukrywa się mistyczna cywilizacja rycerskich kobiet, chroniąca lud przez zakusami nowoczesnego świata. Pod wpływem tych doświadczeń Edmundo porzuca „światłą” ideologię i zostaje na prowincji.

Antypostępowe podejście paradoksalnie cechuje gros powieści SF powstałych w Brazylii na początku XX wieku – autorzy krytykowali zapatrzenie elit w europejskie idee, a nowe wynalazki traktowali jako potencjalne narzędzie wyzysku. Udowadnia to np. książka Erico Verissimo z 1939 roku, inspirowana „Zaginionym Światem” Arthura Conan Doyle’a „**Podróż do zarania świata**” („Viagem a Aurora do Mundo”). Opowiada ona o zblazowanym bogaczem urządzającym w swej rezydencji pokazy życia dinozaurów za pomocą maszyny, na którą ostrzy zęby pazerne przemysłowce, umożliwiającej zagłębienie w daleką przeszłość. Jednak czasem to (pseudo)nauka służyła pisarzom za wątpliwą inspirację. Jak w przypadku Monteiro Lobato, pioniera branży wydawniczej, który zainteresował się eugeniką. Efektem była powieść „**Czarny prezydent lub O starciu ras**” („O presidente negro ou O choque das rasas”), przedstawiająca USA przyszłości, posegregowane na dwa „hodowlane” obozy czystych ras, w momencie, gdy ma zostać wybrany pierwszy czarny prezydent. Kończy się to wybiciem rasy czarnej przez rasę białą, z sugestią, że tylko pozbycie się zarazy multietniczności oczyści brazylijskie społeczeństwo. Straszne czy nie, w obliczu wyborów 2008 roku w USA i elekcji Baracka Obamy „profetyczną” książkę wykopano z sukcesem sprzedazowym ze śmietnika historii.

Znaczenie SF zwiększyły lata 20. oraz 30., gdy w Brazylii zadomowiły się magazyny pulpowe, które publikowały przedruki popularnych serii z USA, ale też rodzimych pisarzy. A na nich ogromny wpływ wywierały dzieła H. G. Wellsa oraz... puszcza amazońska, prawdziwa terra incognita w obrębie ich własnego państwa. „**Tajemnicza Amazonia**” („A Amazônia misteriosa”), zapożyczająca sporo z „Wyspy Doktora Moreau” powieść **Gustavo Cruza** z 1925, opowiada o niemieckim naukowcu prowadzącym w dżungli eksperymenty na chłopcach porzuconych przez legendarne Amazonki. W „**Córcie Inków**” („A filha do inca”) z 1930 roku **Menotti Del Picchia** opisał amazońską ekspedycję, która

MACHADO DE ASSIS (1839 – 1908),
KLASYK LITERATURY



RÓŻA WIATRÓW

CEZARY ZBIERZCHOWSKI

1. Septentrio

Demon nosi twoje imię, powtarza w myślach Prowe, ale wykrzywia to imię, odmienia przez siebie. Oczy porucznika, przeświecone białym światłem, nie odbijają flesza aparatu, z którym krąży policyjny fotograf. Emocje w ochronnym kokonie, serce zwalnia bieg. Naprawdę budzi się dopiero wtedy, gdy czuje słodką woń krwi.

Policjant staje w drzwiach tandetnego salonu w odrapanej kamienicy na obrzeżach dzielnicy Zachem. Opiera się barkiem o obłożoną farbą futrynę i patrzy na fabryczny komin za zakratowanym oknem, żeby nie oglądać zwłok na podłodze i połamanych mebli. Czeką, aż jego ludzie zrobią zdjęcia, pobierają zwoje sznura, kawałki krzesła, zakrwawiony nóż, niedopałki papierosów i włosy – całe to męczące gówno, które zostawia po sobie śmierć.

Prowe nienawidzi śmierci i zamieszania, dusi go obecność tylu ludzi, krzyki z klatki schodowej, wołania funkcjonariuszy próbujących powstrzymać gapiów, którzy wypychają ciekawskie mordy za taśmę. To się zawsze zaczyna tak samo, dziesiątki razy odsłaniał kurtynę w tym czarnym teatrze.

Cofa się do przedpokoju i wyciąga z kieszeni paczkę inków.

– Mamy ich? – pyta Marta Vangelisa o tożsamość ofiar.

– Grubas z bebechami na wierzchu to Samuel Barros, właściciel tego pięknego lokalu – mówi sierżant, ostentacyjnie żując gumę. – Nadal ustalamy kobietę.

– Przy wejściu wisi damski plecak. Zglądałeś tam?

– Dawid znalazł w środku dokumenty nastoletniej córki, która tutaj mieszka. Ale za chują nie wiadomo, gdzie jest. Ta kobieta na podłodze ma dawno gimnazjum za sobą.

– Dawid trzeźwy?

– Tak jakby. Poszedł rozpytać miejscowych, zaraz się do niego ruszę. Ciało znalazła sąsiadka z góry, pani Gres. Pochodzi z południa Remarku, brązowa jak gówno.

– Niech technicy przetrząsną mieszkanie – szafy, łóżka, kibel, wszystko – i niech stąd wypierdalają.

– Zrobi się, Miro.

Porucznik przypala czerwonego papierosa.

To się zawsze zaczyna tak samo – taniec śmierci bez muzyki, ale z dobrze wyczuwalnym rytmem. Na pewno gdzieś istnieją nuty, by dokładnie go opisać, ale Prowe ich nie zna, zawsze budzi się zdziwiony tym czarnym staccato. I wściekły na ludzi tańczących posłusznie, jak zagrają im bestie, karmione nienawiścią i strachem.

Zmusza się, by podejść do trupów: gruby facet leży na środku pokoju pośród rozbitych kawałków szklanki, petów wysypanych z popielniczki i chińskich drobiazgów zrzuconych ze starej komody. Wszystko zanurzone w kałuży zakrzepłej ciemnej krwi. Od wezwania minęła godzina, od zdarzenia znacznie więcej; nawet w tym upale i zaduchu mieszkania trombocyty wykonały sumiennie swoją pracę.

Granatowa koszulka poło podwinęła się wysoko, ukazując długą ranę na ciele denata. Jego palce nadal chwytają wnętr-

ności wylewające się z wielkiego brzucha. Otyłą twarz wykrzywił grymas bólu. Gość zacisnął zęby na sznurówce buta, który spadł ze stopy kobiety. Co za bezsensowny szajs, myśli Prowe.

Zmarła leży częściowo pod stołem, jakby właśnie tam szukała schronienia lub upadła na plecy pod wpływem silnego ciosu. Chude ciało ubrane w obcisłe dżinsy i białą koszulę kontrastuje ze zwalnymi tłuszczu gospodarza. Na nadgarstkach widać ślady krępowania, rozbity nos, posiniaczone policzki, szara taśma zakleja jej usta. Lewa skroń rozharatana od uderzenia tępym narzędziem.

Prowe pisze w czarnym notatniku: *napastnik praworęczny... krew pod paznokciami... rozbryzgi na koszuli... tożsamość do ustalenia... brak śladów włamania...*

– Ściszcie to zasrane radio! – drze się sierżant Vangelis z przedpokoju.

Jeden z mundurowych przechodzi do kuchni i wyciąga wtyczkę boomboxa stojącego na poślóckiej lodówce. Dopiero teraz, gdy zabrakło dźwięku, Prowe dostrzega ślad muzyki wiszący w powietrzu. Dziurę ciszy.

Posterunkowy Jonas nie jest chodzącym geniuszem. Mięłosi w dłoniach stary rachunek ze sklepu, który wygrzebał z kieszeni i postanowił wyrzucić do kosza. Otwiera drzwiczki pod zlewem, pochyla się i zastyga, wpatrzony w przestrzeń przed sobą.

– O, kurwa... Poruczniku, niech pan tutaj przyjdzie!

Prowe czuje, że zbiera się na burzę. Jest dopiero południe, ale później będzie grzmiało i lało jak skurwysyn. Po jego plecach przebiegają elektryczne dreszcze, kiedy idzie w kierunku Jonasa.

– Musi pan to zobaczyć – powtarza ogłupiały policjant. – Musi pan...

– Stul pysk, Jonas. Nie jestem głuchy.

2. Aquilo

Linda odłączyła się od kolegów idących na obiad. Mark i Sonia z księgowności, Damian z infolinii, ruda dziewczyna z ryzyka, sekretarka Margaret i jakaś babka z biura naprzeciwko, wszyscy wleźli do windy. Kiwali na nią przyjaźnie, ale na samą myśl o chuchaniu w twarz i dotykaniu obcych ciał zrobiło się jej słabo.

Nienawidziła tego ścisku, deptania po sobie; w tej sprawie całkowicie zgadzała się z B.

– Dzięki, chyba pójdę schodami. Dla zdrowia... – dodała niepotrzebnie.

– Może pójdę z tobą? – zapytał Damian.

– Nie trzeba. – Pokręciła głową. – Spotkamy się na dole.

Metalowe drzwi zasunęły się wolno. Linda pomaszerowała w dół, z trzeciego piętra na parter, stukając o kamienne schody obcasami. *Stuk-stuk, stuk-stuk*, idziesz dziewczyno do pieprzonej rzeźni, mówiły buty. Od razu pożałowała, że odrzuciła propozycję Damiana. To miły chłopak, choć ubrany w wyciągnięty T-shirt i trochę grubawy, ale gadatliwy, erotoman-ga-

STARCIE ULTYMATYWNE

WIKTOR RUSZKIEWICZ

Wisieli na firmamencie, okalani konstelacją złoto-rudych monogwiazd Tartaru i uderzani lekką hydrobryzą latającego Morza Akwamarynowego. Daleko pod ichn stopami i pod czeluścią głębin wodozieleni rozciągało się Oko, fioleto- wy półzywy księżyc w odcieniach eozyny i fuksji, pokryty kraterami wielkości stóp gigantów. Z prędkością poddźwiękową krążyli wraz z nim po eliptycznej orbicie Bawarii, wodorowo- helowo gazowej nibyplanety. Atomy dźwięków rozszczepiały się w przestrzeni.

OŃ, Pavael Piotr Iwaszkiewiczzy, którego imię już dawno zostało zapomniane na rzecz haniebnego tytułu Połykacza Słońc, zmory aktualno-teraźniejszej rzeczywistości, objęty zakazem wstępu do wszystkich realiów odrębnych z imienia panujących tam Bóstw i sił Absolutnych.

I OŃ, Maksym Daawid Połanieski, nadoficer armii międzywymiarowej, ochrzczony poimieniem Obieżywszechświata, zakochany we wszechzyciu samozwańczy obrońca Boga i Jego Uniwersaliów.

Obie metaistoty.

– Trzysta lat – rzucił Obieżywszechświat echowym głosem.

– π00 – odpowiedział cyfrowo Pavael Iwaszkiewiczzy

Połykacz Słońc krył oblicze i połowę ciała pod czarnym symbiontem, zapieczętowanym wypalonymi na lewym policzku, lewej stronie szyi, lewym ramieniu i boku hieroglifami posthistorycznymi w barwie grynszpanu. Stelaże nóg miał uplecione z feldgrauowego karbinu (altropowej odmiany węgla), odwrotnie łamane, jak u zwierząt prepostępowych. Schowana pod żywą woalką symbiontu twarz wyglądała jak wyciśnięta w materii maska tragedyczna-zerowyrazowa.

Połanieski nosił hebanowy garnitur płynny, najmodniejszy. Wisiało na nim to jezioro czarne, pionowe, z taflą maconą nieustannie powiewami hydrobryzy. Oblicze miał kozackie, żywcem z Zaporozża wyciągnięte. Nos zadarty, jak sztylet cienki, zarost kilkudniowy i burzę kudłów czarnych, na wietrze tańczących. Lewe oko jak noc czarne z tęczęwką czerwoną, w której się kilka znaków runicznych non stop po okręgu żrenicy obracało; prawe od bieli bielsze, z tęczęwką i żrenicą w jedno zlepione, nieruchome. W spodniach garniturowych posiadał tylko prawą nogawkę, bo lewa noga porcelanowa była, wydrukowana w printerach wielowymiarowych. Na jego ramieniu skakał radośnie kanarek o piórkach pomarańczowo-różowych.

Co chwila od Pavaela odrywało się żyjące na nim ciało cudze (żyjące się jego myślami), falami cienkimi i kolistymi o cięciwach randomowych. Jakby szalała na nim czarna burza słoneczna.

– Pytali mnie, co powiem, gdy cięń wreszcie znajdę – Maksym westchnął smutno.

– NOQEF DΣW/NQ APWI@DNM'A? – Połykacz Słońc wysylabizował wolno.

– Języka organicznego w gębie zapomniałeś? Przestań się bawić w mowy magiczne – warknął na OŃ Połanieski.

Wąchali napięcie. Wciągałi nozdrzami nanodrobinki wrogości i gniewu.

– Coś odpowiedział? – Słowa przeleciały dzielącą ichn czterdziestometrową odległość.

– Że może jań bym cięń wolał tak naprawdę nigdy nie znaleźć, tylko wiecznie szukać. Wtedy mógłbym chociaż oszukiwać sam siebie, że gonię innego człowieka.

– A może jań wolałbym, żebyś mnie nigdy nie szukał...

Poderwał się kurz amarantowy z kraterów księżycowych i w tumanach i wirach wpadł przez podstawę do Morza Akwamarynowego, gdzie ławice płaszczyk akwarelowych pożarły ten piach natychmiast.

Nienawiść nieznosna dla serc biologicznych skraplała się rosowato w granacie mezosfery między nimi.

Obieżywszechświat runął do przodu; skoczył między wymiarami, po drodze zmieniając postać w poskręcanego z grubych gałęzi baobabu czterowymiarowego jaka z trzema rogami ultratytanicznymi na wypukłym płacie czoła, i leciał tratować Iwaszkiewiczego. Wpadł rozpędzony z podwymiaru tuż przed nim, ale Połykacz Słońc w nanochwili wyskoczył w górę na 1 AU. Połanieski dogonił goń przez plan eteryczny, mając jeszcze czas na przybranie płynnej formy humanoidalnej toksyny botulinowej. Zatomizował się za plecami Pavaela i przeleciał się na OŃ. Trafił jednak w barierę kinetyczną i rozprysł się po przestrzeni. Piotr pchnął goń mentalnie w tył na dwa hektometry. Obieżywszechświat koziołkował w mezosferze, wracając do stałej formy. Zauważył, że Iwaszkiewiczzy ciska za nim poziomą falę ognia. Wsadził nogę w inny plan, szukając punktu oparcia, i w ostatniej mikrosekundzie odbił się w górę, unikając niebieskich płomieni i przelatując nad nimi; zawirował wokół własnej osi. Odzyskał równowagę i natychmiast skoczył do przodu, obracając żrenicą lewego technooka.

— **Pamiętasz dzieciństwo?** – spytał goń w języku psionicznym, przenosząc poziom ichn rozmowy w inny czas jednostajny, 1-czas.

— **Najkrótszy okres życia istot długowiecznych. Pamiętam jak dziś** – rzucił Iwaszkiewiczzy, jednocześnie unikając w 0-czasie polifazowej szarzy nibyciała Połanieskiego, a zaraz potem ciała faktycznego.

— **Życ bez ciebie nie umiałem. Każdą chwilę z tobą, przy tobie. Przyjacielem moim byłeś największym. Pamiętam, jak nas z objęć wzajemnych musieli wyrwać, kiedy cięń zabierali ode mnie z sierocińca do adopcji ci... nie wiem kto, do dziś. Pamiętasz?**

— **Nigdy nie zapomniałem** – szepnął cicho.

Wspomnienia bolesne nową falę gniewu wlały w 0-czasie w serca i łby gorące.

Tym razem Połykacz Słońc był najpierwszy. Wyrwał sobie z gardła dwie fale gwiazd bliźniaczych w bebechach zamkniętych (kul zjonizowanych gazów o masie łącznej 5×10^{30} kg), błękitną i tyrcjanową. Zamachnął nimi jak gimnastyczki antyczne wstążkami swoimi spiralnymi i cisnął je na kształt krzyża ukośnego, jedno ramię – jedna fala, obie jak rzeki długie. Rzucał się zaraz za nimi w nadprzestrzeń. Maksym musi zwrot wykonać. Jeśli w teraźniejszości wyminie strumienie energii

MMA

MICHAŁ NOWINA

Złotousty Kris wita państwa na finale dorocznych Mistrzostw Might&Magic Arena, gdzie magowie z całego świata stają w szranki, żeby zdobyć miano najlepszego wśród czarodziei! W tym roku turniej odbywa się w niesamowitej scenerii. Otóż nasza korporacja przebudowała ruiny Koloseum na najnowocześniejszy na świecie ośrodek sportowy, z największą areną do magicznych starć. Z łoży cesarskiej, gdzie znajduje się moje stanowisko komentatorskie, rozpościera się wyśmienity widok na całe pole walki.

Niegdyś mówiło się „Zobaczyć Rzym i umrzeć”. Jakże to adekwatne sformułowanie dla naszego pełnego emocji sportu! Przez dwa tysiąclecia Rzym, miasto biedy, samowolnej prostytucji i wszelkiego plugastwa, popadał w ruinę. Na szczęście nasza Korporacja Ligi Sportów Magii wykupiła miasto i po wyczyszczeniu go z dotychczasowego elementu stworzyła w nim tradycyjny ośrodek dla obrzydliwie bogatych ziemian, których kochamy.

Jednakże, moi mili, powoli będę kończył omawianie niesamowitej scenerii zawodów, ponieważ na arenie pojawili się już zawodnicy. W północnej bramie areny niezwykły, piekielnie skuteczny, zwycięzca wszystkich Mistrzostw MMA... Potężny! Mroczny Meeeeerlin!!

Jest to zawodnik, który wyznaje jedną zasadę: brak zasad. Miażdży swoich przeciwników tak, że rzadko który uchodzi z życiem.

Mroczny Merlin ma sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, zawsze ubiera się w czarny habit z kapturem, spod którego widać tylko jego bujną rudą brodę. Prywatnie jest biznesmenem, posiadaczem Wielkiej Brytanii i kontynentu afrykańskiego. Prowadzi kilka szkół sportów magii. Jego hobby to prywatna grupa rekonstrukcyjna Kościoła okultystycznego. Merlin twierdzi, że moc, z której korzysta, posiada dzięki cyrografowi podpisanemu z samym szatanem. Trzeba przyznać, że wymyślił sobie świetny chwyt marketingowy! Poza tym Mroczny Merlin jest też głównym udziałowcem naszego konsorcjum.

Żeby dotrzeć do finału, musiał stoczyć sześć pasjonujących walk, z tego na uwagę zasługiwała szczególnie ostatnia, w której poprzez wyssanie energii i życia pokonał Nazira zwanego Wezyrem. Nazir bronił się długo, ale w końcu Mroczny Merlin odesłał go w niebyt.

Teraz, jak zawsze skupiony i milczący, czeka na pojawienie się przeciwnika.

I... oto jest! W południowej bramie widać już charakterystyczne nakrycie głowy w kształcie głowy jelenia. Ten rogacz to... Druid! Wróż Natury, który przebrnął przez swoje walki równie gładko jak Mroczny Merlin. Ostatnim jego przeciwnikiem był Czarnoksiężnik z Oz, który został zdyskwalifikowany i wyrzucony z LSM, za to, że salwował się ucieczką z areny na latającej małpie. Splamił swe imię i stracił majątek. Teraz ten oto siłacz, który samym władaniem żywiołami potrafił zmusić do ucieczki tak wprawnego maga jak Czarnoksiężnik z Oz, staje naprzeciw Mrocznego Merlina.

Proszę państwa, aż ciarki mi przechodzą na myśl, jak bardzo emocjonujący pojedynek nas czeka. Czarna magia kontra siła

żywiołów. Kibice na trybunach oraz przed wielkimi telebimami w kilku strefach kibica szaleją i skandują: „Merlin! Merlin!”. Nie ma wątpliwości, że jest on ulubieńcem tłumów. Niepokonany od ponad tysiąca walk, dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć z nich skończył przez odesłanie przeciwnika w niebyt.

Druid za to jest zawodnikiem nowym. W swojej karierze wygrał trzydzieści walk, w tym jedenastu przeciwników poddało arenę. Jeden, jak już mówiłem, nawet uciekł. Ten Rogaty Żywiołek, że się tak wyrażę, powiedział nam w wywiadzie, że będzie walczył o uratowanie resztki lasów na świecie. Twierdzi on, że to dzięki nim na naszej planecie jest życie. Szerzy te herezje wszem i wobec, dlatego nie transmitujemy jego wypowiedzi.

Do zawodników podeszli już Mistyczni Sędziowie i omawiają zasady walki. Na samym środku areny tańczą Czarownice z Salem. Trzeba przyznać, że mają dziewczyny czym kręcić i co pokazywać.

Pierwszy gong, proszę państwa, pierwszy gong! Mroczny Merlin i Druid wchodzą na arenę. Drugi gong i uruchomiła się energetyczna osłona. Na otwartych arenach raczej zbędna, gdyż publiczność ogląda wtedy pojedynki na telebimach. Jednakże tutaj wszystko jest na wyciągnięcie ręki. Wręcz można dotknąć magii. LSM przywiązuje ogromne znaczenie do bezpieczeństwa kibiców, dlatego w finałowej walce, pierwszej na arenie w Koloseum, magowie zetrą się w energetycznej klatce.

Napięcie narasta. Wszyscy wyczekują trzeciego gongu, który rozpocznie ten epicki bój w miejscu, gdzie przed tysiącami lat gladiatorzy uzbrojeni w różne ostre narzędzia wypruwali sobie flaki ku uciesze tłumu. Dla mnie osobiście najbardziej interesującą z rozrywek starożytnych Rzymian było rzucanie ludzi na pożarcie zwierzętom. Co jak co, ale bawić to się oni umieli.

Gong! Trzeci gong! Zaczęło się, zaczęło, i to od razu z impetem. Mroczny Merlin wypuścił w stronę przeciwnika Macki Śmierci. Ja bym odebrał ten ruch naszego mistrza jako dowód uznania dla wroga. Merlin chce to zakończyć jak najszybciej. Druid jednak zmiata je Spirala Ognia i od razu kontratakuję! Potężny podmuch wiatru wrzuca Mrocznego Merlina na energetyczną ścianę. Proszę państwa, co za spięcie, niczym trafienie pioruna! Oj, Druid nagrał sobie, nagrał. Teraz Mistrz mu nie odpuści. Wszak nie przywykł do takiego traktowania. Tłum na widowni także okazuje swoją dezaprobatę wobec poniewierania ich idola. Mroczny Merlin to bożyszcze kibiców, prawdziwy celebryta.

Wróćmy jednak na arenę. Druid nie zamierza odpuścić i widać, że nie zadowoli go jedno celne trafienie. Uniósł prawą dłoń do góry i zacisnął ją w pięść. Przez niebo przetoczył się grzmot. Proszę państwa, co za moc, co za siła! Dłoń pretendenta do mistrzowskiego tytułu aż zaiskrzyła. Skierował ją teraz w stronę Merlina i posłał mu serię piorunów. Mistrz jednak był przygotowany. Jeden unik, drugi unik, tłumy szaleją ze szczęścia. Wydaje się, że Mroczny Merlin nic sobie nie robi z tego miotania błyskawicami. Druid jednak nie zamierza się poddać. Niemalże eksplodował kulą energii! Przed tym po prostu nie dało się zrobić uniku. Mroczny Merlin zbiera się teraz z ziemi po kilkukrotnym trafieniu.

KADRY APOKALIPSY

(Shooting the Apocalypse)

PAOLO BACIGALUPI

Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, po prostu roześmiałby się delikwentowi w twarz i oświadczył, że w życiu trzeba sobie radzić samemu.

Zaniepokojony tym wnioskiem Timo jechał swoim zdezelowanym foldem Flex Fusion po zrytej koleinami drodze technicznej, prowadzącej wzdłuż Centralnego Kanału Arizońskiego. Tak, w wypadku dowolnego innego pismaka, który ściągnął do Phoenix w poszukiwaniu chwytliwego tematu, nie kiwnąłby nawet palcem.

Nie zrobiłby tego nawet dla żadnego z branżowych bonzów ze znanymi nazwiskami, jednego z tych, którzy zlatują się niczym sroki, rozdrapują tłuste kaski i czym prędzej odfruwają, zatrzymując wszystkie zyski z wejść dla siebie.

I nieważne, czy miałby do czynienia z człowiekiem z Google/NY Timesa, Cherry Xu, Facebook Social Now, Kindle Post, Xinhua, czy od Debory Williams.

Ale Lucy? Cóż, jasne. Dla Lucy wsiał do rozgrzanego jak piekarnik samochodu, zapakował cały sprzęt fotograficzny i ruszył swoje chude, brązowe dupsko na wzgórze za północnym Phoenix, kierując się główną, mocno niepewną wskazówką. Jeździł w tę i z powrotem, marnował benzynę próbując odszukać tę drogę, a potem trząsł się w kurzu i koleinach, co chwila trzaskając podwoziem forda o kolejny kamień. I nie poskarżył się nawet słowem.

Cóż, to tylko dowodzi, ile człowiek jest w stanie zrobić dla laski w obcistych dżinsach.

Tu jednak nie chodziło jedynie o to. Owszem, Lucy wyglądała nieźle - o ile ktoś lubi białe dziewczyny z małymi cyckami i szerokimi biodrami - i Timo faktycznie łapał się niekiedy na fantazjach o niej. Niemniej nie z tego powodu wyświadczał Lucy przysługi. Robił to, ponieważ była zadziorna, kompletnie zielona i wskoczyła na zbyt głęboką wodę - czego nie pozwalała jej przyznać wrodzona duma.

Tak, laska miała temperament i Timo darzył ją za to szacunkiem. Wbrew temu, że przyjechała z północy i była tak zielona, że niekiedy śmiał się do rozpuku z bzdur, jakie wygadywała. Dziewczyna nie miała większego pojęcia o poźółkłym, pustynnym życiu, ale trudno było odmówić jej charakteru.

Kiedy więc Lucy wymamrotała znad swojego „Dos Equis”, że wszystkie tematy zostały już wyczerpane, Timo, w przypływie piwno-romantycznego ferworu, zapewnił ją solennie, iż to absolutna nieprawda. Że sam ma przecież świetne oko. Że zauważa rzeczy, których nie dostrzegają inni. Że z miejsca i bez przygotowania wymieni dwadzieścia pomysłów na materiały, jakimi mogłaby się zająć i wyrobić sobie dzięki nim mocną, zawodową pozycję.

Gdy jednak Timo zaczął wyliczankę tematów, Lucy utracąca je równie szybko, jak szybko je podsuwał.

Kojoty, przemytnicy szmuglujący Tekszańczyków przez granicę do Kalifornii?

Sohu puścili już dziewięćdziesięciowy materiał.

Kalifornijczycy kupujący za bezcen teksańskie dziwki, jak by Phoenix było, cholera, Tijuana?

Google/NY Times i Fox zrobili wielkie teksty na główne strony serwisów.

Wprowadzone po zamknięciu Tamy Roosevelta ograniczenia w dostępie do wody i osuszanie basenów w Phoenix?

Tym zajęło się niedawno Kindle Post.

Zabójstwa na tle narkotykowym? Których ofiary tak często znajduje się w pustych basenach, że ludzie zaczęli je nazywać „pływakami”?

AP. Fox. Xinhua. LA Times. Talisha Brannon Show. Poza tym, o narkotykach leci teraz reality show. „Ciężkie sprawy”.

Co chwila podsuwał kolejne perspektywy, nowe motywy i ujęcia, a Lucy odpowiadała raz za razem: „To już było”. Po tem zaczęła złorzeczyć medialnym korporacjom i zabierającym jej materiały pozał się Boże żurnalistom; mówiła o wejściach na strony, o kliknięciach i oglądalności.

- Nie zależy mi na kolejnej martwej dziwce, którą rzuciłabym na żer złaknionemu seksu i przemocy tłumowi - stwierdziła dopijając piwo. - Chcę czegoś naprawdę wielkiego. Naprawdę wybuchowego tematu na wyłączność, wiesz?

- Ja natomiast chcę kobiety, która będzie mi podawać lodo-waty browarek, kiedy wrócę z roboty - odparł Timo zrzędliwie. - Ale z tego wcale nie wynika, że taką znajdę.

Oczywiście jednak rozumiał, o co jej chodzi. Sam potrafił strzelać foty, na widok których nawet sęp wypłakałby sobie ślepią, lecz środowisko niusowców, w którym próbowała się przebić Lucy, przypominało świat gladiatorów - niewielu zwycięzców, za to cała masa przegranych i w cholerę krwi na piachu.

Dziennikarze nie zarabiali regularnie. Nie zarabiali też dobrze. Niemniej czasami ludzie miewali farta. Cholera, jemu samemu się poszczęściło, kiedy podjechał teksańską szosą i sfotografował huragan Violet w pełnej krasie. Udało mu się złapać kilka ujęć łodzi rybackiej, która przeleciała kawał drogi w powietrzu i wylądowała na dachu „Days Inn”. Wtedy od razu poczuł, że nieźle mu się trafiło. Violet zniszczyła Galveston i gwałtownie zaatakowała Houston. Serwis z jego fotkami miał tak wysoką oglądalność, że zastanawiał się, czy ten huragan go jednak nie zabił i nie trafił prosto do Raju. W końcu Violet zaklasyfikowano do kategorii szóstej.

Raz po raz odświeżał wtedy stronę swojego paypalowego konta i przyglądał się rosnącej miarowo sumie. Wjeżdżając prosto w środek tego kurewstwa wykazał się żelaznymi cojonos i w nagrodę wywiózł stamtąd ponad milion wejść na każde zdjęcie. Był wniebowzięty.

Katastrofy jednak robiło się łatwo i Timo boleśnie się przekonał, że kiedy do michy zbiegają się duże psy, małe psiaki muszą spieprzać. Dlatego właśnie wrócił do smętnego Phoenix, gdzie ciężko harował na każde zdjęcie mózgu rozbryźniętego na samochodowej szybie czy związanej, naćpanej laski leżącej trupem na dnie basenu. I z tego właśnie powodu potrafił współczuć ciężkiemu położeniu Lucy, nawet jeżeli nie podzielał jej podejścia do zawodu.

Wszystko już było - prychnął Timo w myślach, omijając swym foldem wypaloną karoserię porzuconej tesli. - No i co, kurwa, z tego?

- Na świecie nie ma już dziewic i nie ma też świeżych tematów - próbował wytłumaczyć dziewczynie. - Są po prostu rozmaite ujęcia tych samych, starych motywów. To, co ci się

CIEMNE OGRODY

(Dark Gardens)

GREG KURZAWA

Sam kupił zajętą przez komornika nieruchomość przy Enfield na aukcji, rzecz niesłychana. Przypuszczał, że będzie miała podejrzaną przeszłość, ale ponieważ plan był taki, żeby ją ogołocić, przerobić i odsprzedać, historia nie miała znaczenia. Dopiero kiedy ją nabył, dowiedział się, że jej poprzedni właściciel był na wpół zawodowym magikiem o pseudonimie artystycznym Kurricke. Po siedemnastu latach mieszkania w domu jednopiętrowym z dwoma sypialniami magik zniknął, zostawiając zepsute mleko w lodówce, naczynia w zlewie i wszystkie narzędzia pracy w niepozamykanych kufrach.

Sam nie chciał żadnej z tych rzeczy: ani kostiumów, ani rekwizytów z drugiej sypialni, ani szaf pełnych kostiumów, obuwia i peruk. Na wyciągarkę ze stojakiem z piwnicy mógł znaleźć się kupiec, ale wiklinowy kufer z notatnikami i kasetami 8 mm nie był wart złamanego grosza. Na nic były mu manekiny ze strychu – jedno na stojakach, drugie rozebrane na części i zapakowane do skrzyń. Rekwizyty sceniczne nie mieściły się w jego strategii inwestycyjnej.

W ten pierwszy weekend Sam drastycznie uszczuplił zbiory, wywlekając rupiecie magika ze strychu i na dwór przez garaż. Bezceremonialnie wyrzucił wszystko do wynajętego śmietnika zajmującego podjazd.

Jego plany zmieniły się dopiero w poniedziałkowe popołudnie, gdy zwinął zatłuszczony dywan w piwnicy i odsłonił wąż.

Wychodząc z piwnicy na górę w poniedziałkowy wieczór, Sam skierował kroki do garażu, szukając wiklinowej skrzyni, którą wywlekl wcześniej rano. Zaciągnął ją z powrotem do domu i postawił na wprost ciemnozielonej kanapy, której, zdecydował już, pozbędzie się jako ostatniej – zaraz po trzydziestodwucalowym magnavoksie. Zasiadając na kanapie, rozpiął zatraski i uniósł wieko.

Notatniki w papierowych okładkach i kasety 8 mm. Z boku upchnięta kamera ręczna Sony owinięta we własne kable, a na wierzchu tego wszystkiego – fotografia dziesięć na piętnaście w cienkiej cynowej ramce. Sam wyjął zdjęcie, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

Na profesjonalnie wykonanej fotografii uchwyciono niedobraną parę. Ona: młoda i ładna, siedząca na krześle z dłońmi na podołku i nieco oszołomioną miną. On: przypuszczalnie magik Kurricke, stał za nią, trzymając dłoń na odsłoniętej skórze między jej ramieniem a szyją. Miał może z pięćdziesiąt lat. Jego włosy, już siwiejące, wydawały się nienawykłe do grzebienia. Wypisz, wymaluj mężczyzna, który nie potrafi wyprasować koszuli, który zapomniał, jak wiąże się krawat. Uśmiechał się szeroko do aparatu z podekscytowanym, chłopięcym wdziękiem, zachwycony swoim szczęściem.

Kobieta była zbyt młoda na żonę albo kochankę magika, uznał Sam. Cóрка, być może. Jednak palce na jej karku były

zbyt zaborcze, zbyt poufale na takie pokrewieństwo. Skórę miała bez skazy, gładką i kremową, włosy jak puszysty brązowy jedwab, zupełnie niepasujące do rodzaju jej cery. Jej piękno wydało się Samowi nieskazitelne, choć w jej pozie było coś nie-naturalnego. Jakby, pomyślał, nie malowała się samodzielnie.

Sam odłożył ramkę na bok.

Pobieżny przegląd pozostałej zawartości kufru ujawnił, że notatniki nie były ani ponumerowane, ani opatrzone datą. Kasety, podobnie, były nieuporządkowane i niepodpisane. Czując pewność, że któraś z rzeczy pozostawionych przez magika wytłumaczy istnienie wążu, Sam wybrał notatnik z bezładnej sterty. Otwierając go w środku, przeczytał:

Jak Bóg musi nas nienawidzić. Jak wstrętna musi być dla Niego nasza głupota i bezradność.

Hitler mordował kalekich i słabych tylko i wyłącznie dlatego, że byli kalecy i słabi. Choć sam był człowiekiem – workiem mięsa niczym nieróżniącym się od tych, których zagazował. O ile większa jest przepaść między nami a Bogiem? O ile większa Jego nienawiść do nas?

Czemu cierpienie słabych miałoby budzić nienawiść?

Słyszałem opowieść o chłopcu, który roztrzaskał głowę ranne-go psa, bo ten nie miał na tyle przyzwoitości, by umrzeć. Teraz rozumiem, że chciał zakończyć niedolę nie tego biednego zwierzęcia, ale własną. Jak nieszczęsnym musi być zatem Bóg, widząc, jak tłuczemy się bezładnie, ślepi i becząc niczym owce, po Jego ciemnym ogrodzie? Nieświadomi własnej nieświadomości, tarzamy się w całym Jego stworzeniu, depczemy je.

Jak to możliwe, że którykolwiek z nas jeszcze żyje?

Sam zamknął notatnik i raz jeszcze podniósł fotografię. Tym razem wysunął ją z ramki i odwrócił na drugą stronę.

Dla E. Całuję, J.

– J. Kurricke – powiedział Sam. – Co tu się wydarzyło?

Wyjął kamerę ręczną Sony wraz ze zwojem kabli. Pora obejrzeć kasetę.

Magik Kurricke, w białej koszuli i błyszczącej czarnej kamizelce, wychodzi na scenę w czymś, co wygląda na salę gimnastyczną liceum. Kamera nagrywa zza pleców skromnej publiczności; taśma jest kiepskiej jakości. Magik wywija chustami, obręczami i olbrzymimi kartami na oczach widzów, którzy ledwie zauważają jego obecność. Ciągły szmer ustronnych rozmów zagłusza jego żalosne żarty. Od czasu do czasu jakaś nastoletnia twarz nachyla się z boku, by łypnąć w kamerę.

W niezręcznej dwunastej minucie przedstawienia Kurricke znika za kulisami. Wraca po chwili, pchając przed sobą manekin w fotelu na kółkach. Siedzi ona jak kołek w szarej spódnicy i białej bluzce, z dłońmi złożonymi na podołku, jej łysa głowa lśni w scenicznym świetle.

SHOGGOTHY W ROZKWICIE

(*Shoggoths in Bloom*)

ELIZABETH BEAR

- Cóż, profesorze Harding – odzywa się rybak, podczas gdy jego Błękitnik ślizga się po wodach Zatoki Penobscot – na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć. Galarety trzymają się od nas z daleka i my też nie wchodzimy im w drogę.

Ma niewiele więcej niż czterdzieści lat, ale sprawia wrażenie zasuszonego, jego ręce są zniszczone od pracy, a twarz przywodzi na myśl skórę siodła – i to zarówno z powodu chropowatej powierzchni, jak i barwy. Jest w wieku profesora, który stara się ukryć zainteresowanie, z jakim przygląda się manewrowaniu silnikiem łodzi. Być może, tak jak Harding, brał udział w Wielkiej Wojnie.

Harding jednak nie wspomina o tym na głos. I tak nie stworzyło by to między nimi żadnej więzi: i tak okazałoby się, że nie walczyli w tych samych jednostkach, że nie w tych samych okopach patrzyli na śmierć swoich towarzyszy.

To nie miałoby żadnego znaczenia, nie w przypadku rybaka z Maine, który tylko potrząsa głową i nie wyciąga dłoni, by ucisnąć jego rękę, i żując w zadumie tytoń, rzuca: „Doktor Harding? No proszę. Nigdy wcześniej nie spotkałem kolorowego profesora”. Potem ucina wszystkie próby Hardinga, by nawiązać rozmowę o panice, jaką niecałe dwa tygodnie temu wywołała emisja słuchowiska radiowego opowiadającego o inwazji obcych na New Jersey.

Harding trzyma dłonie ściśnięte pod pachami, tak by rybak nie widział, jak się trzęsą. Ma szczęście, że się tu w ogóle znalazł. Że ktoś zgodził się go zabrać. Wreszcie ma szczęście, że pracuje na Uniwersytecie Wilberforce’a, na posadzie, która ma spore szanse, by niedługo zamienić się w stałą profesurę. I której utratę właśnie ryzykuje.

Powierzchnia zatoki jest gładka jak lustro, ślad, jaki pozostawia na niej Błękitnik, przypomina kreskę kredy przecinającą tablicę. W brzoskwiowym niczym sorbet świetle wschodzącego słońca błyszczy skupisko skał. Same głazy są czarne, ponure, wyżłobione przez morze. Światło ponad nimi załamuje się jednak na przezroczystej, gdzieniegdzie sięgającej na wysokość dwóch metrów warstwie galarety, delikatnie połyskującej w poświacie poranka. U góry unoszą się widoczne jako nieprzezroczyste kształty łodygi, lekko pochylone pod ciężarem ciała owocującego.

Harding wstrzymuje oddech. Widok jest piękny. I zwodniczo nieruchomy, bo niezależnie od pogody, ponad spokojem zatoki, po drugiej stronie poprzetykanego szarością Atlantyku, dalej niż Harding – czy ktokolwiek inny – potrafi sięgnąć wzrokiem, nad Europą gromadzą się burzowe chmury.

Harding jest dobrze wykształcony i wszechstronnie odczytany. Jest też wnukiem bawolego żołnierza Nathana Hardinga, urodzonego w Afryce niewolnika, który uzyskał wolność, a w wojnie domowej bił się po obu stronach. Kiedy Nathana wysłano, by walczył w zastępstwie swojego pana, zdezerterował, okłamał spotkanych żołnierzy, a potem został już w szerzjach Unii.

Harding, tak jak jego dziadek, był żołnierzem. Nie ma historycznego wykształcenia, ale teraz nie jest ono potrzebne, by dostrzec oznaki zbliżającej się wojny.

- Żadnego kontaktu? – pyta, ustawiając aparat fotograficzny, pożyczoną Leikę.

- Opróżniają trochę klatek – mówi rybak, mając na myśli klatki na homary. – Nie niszczą ich. Po prostu otaczają kłatkę i trawia znajdującego się w środku homara. Szkodzą.

Wzrusza ramionami. Szkodzą ale nie stanowią zagrożenia. Ci Jankesi nigdy nie powiedzą niczego wprost, jeśli uznają, że da się to odczytać z kontekstu.

- I nie próbujecie z shoggothami czegoś zrobić?

Regulując przepływ paliwa, rybak odzywa się, nawet nie unosząc przy tym głowy:

- Co moglibyśmy im zrobić? Nie możemy ich skrzywdzić. A Bóg mi świadkiem, nie chciałbym któregoś z nich rozszłościć.

- Zupełnie jakbym słyszał o kierowniku mojego wydziału – mówi Harding i opiera się o burtę, mimo iż ma wrażenie, że naraża się tym na ogromne niebezpieczeństwo. Ale rybak tylko spogląda niego z ciekawością, jakby zaskoczony, że gadająca małpa może mieć ochotę i czelność do żartów.

A może dowcipy Hardinga po prostu nie są śmieszne. Profesor siada ze złożonymi rękoma na dziobie i czeka, patrząc jak łódź podskakuje na wodzie.

Piękno wschodu słońca wydaje mu się symboliczne. Starania, by znaleźć się tutaj zajęły mu pięć lat – pięć lat, a może nawet całe jego życie od zakończenia wojny. Na oblewanych morzem skałach odludnych części wybrzeża Maine żyje obfitość intrygujących, niecodziennych istot. Wyprawa w to miejsce stanowi dla niego szansę, tutejszy morski ekosystem pozostaje praktycznie niezbadany. Trudny dostęp jest tylko jedną z przyczyn. Druga to zagrożenie związane z bliskością niezwykle rzadkiego i najbardziej spektakularnego mieszkańca tych głębin: *Oracupoda horibilis*, pospolitego shoggotha przybrzeżnego.

Który, jak to zwykle bywa w przypadku gatunków określanym mianem pospolitych, nie jest ani pospolity, ani skłonny do pozostawiania przy brzegu. Co więcej *O. horibilis* nigdy, za wyjątkiem późnej jesieni, nie widuje się ponad powierzchnią wody. Badacze, którzy w ogóle o nich wspominają, przypuszczają, że shoggothy wdrapują się na odosobnione przybrzeżne skały, by tam rozkwitać i się rozmnażać.

Rozród faktycznie może być powodem, ale Harding wcale nie jest o tym przekonany. Cokolwiek jednak shoggothy robią w tym stanie, pozostają całkowicie bezwładne i nie reagują na żadne bodźce. Jeśli tylko ich powłoka jest nienaruszona i wydzielany przez nie galaretowaty kwas trawienny pozostaje wewnątrz stworzeń, można się do nich bezpiecznie zbliżyć.

Dojrzały okaz *O. horibilis*, osiągający średnicę piętnastu do dwudziestu stóp i o wadze szacowanej na ponad osiem ton, to największy z żyjących współcześnie shoggothów. Odnalezione skamieliny, co prawda niekompletne, sugerują, że prehisto-

CENZOR, TWÓJ BRAT (1)

MACIEJ PAROWSKI

Miewałem z cenzorami doświadczenia sympatyczne, ale z Urzędem Kontroli – fatalne. Krótko po Sierpniu '80, zdjęto mi z „Literatury”, potem z „Politechnika” punktujały tę różnicę felieton o udręczonym cenzorze balansującym między okaleczoną prawdą i narzuconym kłamstwem.

Protestowałem, że tekst nie ujawnia tajemnic, nie narusza sojuszy, nie kwestionuje kierowniczej roli PZPR. Mimo to wolimy, żeby się nie ukazał – wyjaśniono w urzędzie. Podacie paragraf, numer zapisu, podstawę do interwencji, zobowiązuje was do tego ustawa? Nie, ale możemy zgodnie z przepisami tak przeciągnąć procedury, że tygodnik wyjdzie jak dwutygodnik, albo i później.

Urząd nie zezwolił, by dostrzeżono w jego funkcjonariuszu cierpiącego człowieka. Inna sprawa, że gość zachował się nietuzinkowo. *Panie* – rzucił mi szeptem pod-

W cenzurze pamiętano mi ten felieton i niechętnie wspominano kolegę, który okazał słabość. *Tak, był tu taki, ale już go na szczęście nie ma* – usłyszałem parę miesięcy po jego śmierci (odszedł na raka). A zastępująca go wesola panienka, po targach o wycięciu kolejnej oczywistości, przywołała mnie do porządku: *Dopiero dziś pan się dowiedział, że wycina się prawdę!?*

Inna popularna wersja tego powiedzenia – co ty nie wiesz, na jakim świecie żyjesz? – nie pojawiała się w oficjalnym obiegu. Zdejmowała ją cenzura.



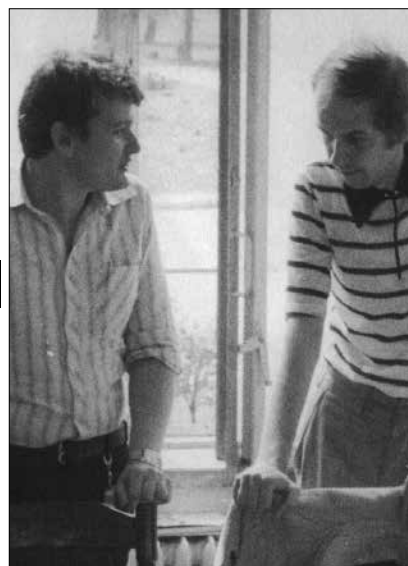
Po lewej siedziba Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk na ulicy Mysiej w Warszawie.

czas zimy stulecia 1976/77 – jak to właściwie jest: licencje z Zachodu, a ideologia ze Wschodu... Toteż w tamtym skonfiskowanym felietonie opisywałem go, jak rano kreślił informację o źle funkcjonującej komunikacji miejskiej, a wieczorem gnienie się w spóźnionym autobusie. Do piętnastej zacierał w gazetach skalę niedoborów na rynku mięsnym, by wspominać to w domu przed pustą lodówką. Oramus, który jesienią 1977 wziął po mnie w „Politechniku” fuchę sekretarza redakcji i też czasem z dobrym skutkiem targował się z gościem o niepokorne akapity czy zdania, powinien potwierdzić, że był to człowiek przyzwoity.

*

– Jaka jest największa tajemnica wojskowa?
– Że generał jest dupa.
– A jaka jest największa tajemnica totalitarnego państwa?
– Że jest totalitarne.
– A jaka jest największa tajemnica państwa podbitego?
– Ano taka, że jest to państwo niesponsujące sobą samodzielnie, ergo – zostało pozbawione możliwości nazywania swojego losu.

Właściwie nie chodzi o tajemnice, tylko o wiedzę, która nie może być wyartykułowa-



Fot. Jacek Barcz

Maj 1981. Maciej Parowski, nowy elekcyjny redaktor tygodnika „Politechnik” i Tadeusz Rogowski, red. ustępujący.

na i upowszechniana w obiegu publicznym. Jasne, system miewał szczeliny. Prawdy ukryć się nie da, ale można uczynić ją ekskluzywną, sprawić, że ludzie dotrą do niej z opóźnieniem. I tylko niektórzy. A im mniej osób dotrze, tym trudniej będzie się wszystkim porozumieć. To jest przecież podstawowy dynamizm powieści Zajdla – jak szybko bohater i czytelnik odkrywają, co jest grane.

Cenzor mógł mieć chwile słabości. Mógł być upierdliwy, rygorystyczny, nieznosny albo wielkoduszny, ale nie mógł być naiwny. Natomiast jako dywersant wkładający kij w szprychy nie utrzymałby się w urzędzie nawet dnia. Jego podstawowym zadaniem było więc podtrzymywanie stanu obywatelskiej niewiedzy, niepamięci, rozbicie umiejętności kojarzenia faktów, odróżniania dobra od zła i interesu własnego od cudzego. Dlatego cenzura zajmowała się przeszłością, teraźniejszością i przyszłością.

Na różnych etapach mojego dziennikarskiego życia okazywało się, że chodzi o to przede wszystkim, by nie pojawiło się w druku słowo *Katyń*, nazwisko *Orwell*, lub *Piłsudski*, by nie obchodzono rocznicy *Cudu nad Wisłą*¹, ani jatek jakie partia urządziła co dwanaście lat przodującej klasie. By nie podawano liczby wypadków górniczych, ani aktów nadużyć w służbach mundurowych. By skreślić ze zbiorowej pamięci wielkie postacie narodowej historii, a wylanować szemrane; by pomijać pewne nazwiska, książki i nie recenzować niektórych filmów. By tzw. młodzieżową prasę chronić przed akcentami religijnymi, a do dorosłej nie dopuścić informacji o buntujących się zakładach przemysłowych i o stanie zdrowia ich załóg. No i za żadną cenę nie mogła się przebić konstatacja, że narzucony nam

¹ We wstępie do pośmiertnego wydania „Listu pożegnalnego” Zajdla, Janusz kpił, że kiedyś dzień jego urodzin był świętem państwowym, ale przestał. Chodziło o 15 sierpnia; cenzura wycinała nawet takie niewinne szyderstwa.



Maj 1981. Riviera Remont, siedziba Politechnika, chwilę po wyborach naczelnego. Góry rząd od lewej; Janusz Oblucki (grafik), Włodzimierz Kalicki (dziennikarz) MP TR. Z prawej Andrzej Święteczki i Marek Oramus. Rok później w tym miejscu odbywały się pierwsze spotkania zespołu założycielskiego miesięcznika „Fantastyka”. Rok później, po stanie wojennym, tygodnik „Politechnik” co prawda był zawieszony, ale odbyły się tu pierwsze spotkania zespołu założycielskiego miesięcznika „Fantastyka”.

niegodziwymi metodami system sowiecki sypie się, wdrażają go kanale, a naród się dusi w sfalszowanym wzorze polskości, którym postanowiono zastąpić i zohydzić ten prawdziwy. Nawet delikatne żarciki na temat Sojuza praktycznie nie miały szans, chyba że zawierały tonę wazeliny.

Cenzor, jeśli nie był idiotą albo cynikiem, mógł z docierających doń sygnałów i neutralizujących je instrukcji z centrali, rekonstruować ponurą sytuację – wprost kreślić mapę narodowych rewolt, katastrof i zapaści. Dlatego winien być postacią tragiczną. W Październiku '56, kiedy system się zachwiał, cenzorzy gremialnie gardłowali za rozwiązaniem swojego Urzędu. Niestety, szybko im przeszło, a ci, którym nie przeszło tracili pracę. Ale tylko jeden i dopiero dwadzieścia lat później przemyślał rzecz do końca. Krakowski cenzor Tomasz Strzyżewski, wyjechał na Zachód ze skopiowanymi instrukcjami wydanymi potem w „Czarnej Księdze Cenzury PRL”. Mały tomik kompromitujący zwłaszcza schyłkową fazę rządów Gierka, o trzy lata wyprzedził Sierpień '80.

*

Młodą inteligencję do czasu traktowano w PRL pobłażliwie, a jej kulturowemu ruchowi pozwalano na więcej. Żarty się skończyły, kiedy w 1977 roku w Krakowie zamordowano Pyjasa. Sześć lat później w Warszawie MO zatłukła Przemyka, rówieśnika RAZ-a, co także następnemu pokoleniu dało do myślenia.

Ale na początku dekady 70. studencie teatry, kabarety, kursanci szkół artystycznych mieli swoje festiwale. Dziennikarze studenci spotkali się nad jeziorem w ośrodku wypoczynkowym w Soczewce, pod Płockiem. Przyjeżdżali do nas oficjele, także kulturalni, otwarci na dyskusję cenzorzy. Oczywiście umniejszali swoją rolę, są narzędziem w ręku partii (należało pisać

„naszej Partii”), pełnią służbę publiczną, chronią, zabezpieczają, żadnej samowoli.

Wicie-rozumiecie, chyba nietrudno pojąć celowość częściowo niemiłej, ale zarazem wychowującej społeczeństwo cenzury obyczajowej. Istotna bywa obrona przed wyciekami ważnych danych wojskowych, konieczna jest też informacyjna osłona negocjacji handlowych czy dyplomatycznych, a także wyprzedzających badań naukowych, bądź choćby odkryć geologicznych. Międzynarodowa konkurencja czuwa.

Wstał kolega i powiedział, że usunięto mu z pisma recenzję legalnie wydanej książki Wańkowicza. Inny to samo miał z Bablem (tym od „Armii Konnej”). Wicie rozumiecie, Wańkowicz jest naszym wrogiem i nie zrzekł się amerykańskiego obywatelstwa. Aha – nie rezygnował kolega – to czemu i o tym nie napisać?

Na chwilę się zacukali.

Zabrał głos ktoś z teatrów studenckich i opowiedział ad hoc wymyślony spektakl. Na scenie jest rolnik, robotnik przy maszynie, inżynier przy desce kreślarskiej, poeta z gęsim piórem... Wszyscy wszystkim wysyłają na kartkach komunikaty, każdy przed doręczeniem musi być przeczytana przez zasiadającą na proscenium komisję uzbrojoną w nożyczki do wycinania i grube flamastry do skreślania. No a teraz – podsumował ten gość od teatrów – wyobraźmy sobie, że was nie ma. Co się zmieni? A jeśli nawet, to chyba na lepsze.

Zatrzepotali powiekami, pomerdali łapkami, troszkę się zacukali, ale dalej próbowali być mili. Wicie-rozumiecie, przecież w każdym kraju istnieje cenzura.

Kłamstwo. Nie w każdym. I na pewno nie aż taka.

*

Po premierze „Barw ochronnych” poszły na Mysią kolumny „Politechnika”

z dwiema recenzjami. Autor pierwszej ogłębnie, ale klarownie wywiódł, że film jest metaforą potrzaskanego społeczeństwa, a nie tylko wizerunkiem grupki szczeniaków i nadętej kadry na obozie naukowym. W drugim tekście nacisk położono właśnie na naganną bierność i nijakość ukazanej w filmie młodzieży akademickiej.

Recenzja pierwsza spadła w całości. Drugą wykastrowano, by wyszło, że autor ma żal głównie do reżysera za szkalowanie studentów. Byłem wtedy sekretarzem redakcji, ale chorym, zastępował mnie kolega, miał jeden materiał rezerwowo, jakieś zdjęcia i nie miał doświadczenia. OK – powiedział – to wyrzucamy na razie obie recenzje do przemyślenia, a dajemy tekst zastępczy. Nie, nie – zaoponowali – my byśmy woleli, żeby poszedł ten drugi tekst w formie jak teraz.

Tak to działało. Byliśmy wściekli. Oni woleli, kolega nie wiedział, że może się postawić, a podejmował decyzje pod presją; numer musiał iść do drukarni. Zanussi pewnie do dziś myśli, że zakute łby z politechniki nie zrozumiały prostego przekazu, albo zadziały jak czerwoni pałkarze. Inna sprawa, że w „Razem”, w którym zjawiłem się rok później, nie pozwalano sobie nawet na tłumioną wściekłość; decyzje cenzury ulegały – by tak rzec – uwewnętrznieniu. Jak można było w ogóle dać do numeru tę durną pierwszą recenzję, no i po co było ją pisać, wydziwiano w podobnych wypadkach z najszczerzym oburzeniem. Cięcia cenzury nie uchodziły tam za szlachetne blizny, tylko wstydlive oznaki gapiostwa, albo głupoty.

To ty nie wiesz, na jakim świecie żyjesz!? Mówiąc po ludzku – uwewnętrznienie to zwyczajnie autocenzura. ■

Duńczycy z lamusa

czyli Avanti Planetaros podbija Marsa

Duńskie kino fantastyczne? Przeciętnemu widzowi amerykańskich blockbustów ten termin chyba się z niczym nie kojarzy.

Koneserzy kina przypomną, że *enfant terrible* duńskiej kinematografii, Lars von Trier, nakręcił sporo obrazów, które można zaliczyć do fantastyki. Mało kto jednak pamięta, że Duńczycy kręcili takie filmy w epoce kina niemego – i to nie były jakie. Przed I wojną światową pojawiło się kilku reżyserów, którzy zajęli się tematyką gwarantującą przyciągnięcie do kin możliwie jak najszerszego grona widzów. Dużą widownię, jak wiadomo, zapewniają sensacja, horror i fantastyka. Duńczycy powołali nawet do ekranowego życia pierwszego superlotra, **Doktora Gar el Hama** w filmach **Eduarda Schnedler-Sørensen**a. Pierwszy film serii powstał w 1911, dwa lata przed ekranowym debiutem Fantomasa. Oczywiście należy pamiętać, że z naszego punktu widzenia i tak każdy niemy film raczej klasyfikuje się do szufladki „tzw. melodramat” z nachyleniem w stronę wybranego gatunku. Impulsem, który sprawił, że w Danii powstały filmy fantastyczne nakręcone z prawdziwym rozmachem była I wojna światowa i panujący w całej Europie nastrój zwątpienia w cywilizację Zachodu.

GROBOWCE I KOMETY

Pierwszym reżyserem, który zastąpił w Danii kinem fantastycznym był **August Blom**. Zdaniem niektórych w ogóle był pierwszym duńskim reżyserem z prawdziwego zdarzenia. Już jego debiut z 1910 zwiastował zamiłowanie do interesujących nas tematów, był to bowiem **„Upiór w grobowcu”**. W tym samym roku nakręcił też adaptację **„Dra Jekylla i Mra Hyde’a”** oraz **„Naszynnik Śmierci”**. Jego fantastyczne opus magnum po wybuchu I wojny światowej, w 1916 roku, a był nim obraz pod wszystko mówiącym tytułem **„Koniec świata”**. Film wykorzystał nastroje panujące po wybuchu wojny oraz wciąż świeżą pamięć o potencjalnych niebezpieczeństwach związanych



Agnieszka
Haska



Jerzy
Stachowicz

z przelotem komety Halleya w pobliżu Ziemi (1910). To właśnie kometa jest w filmie Bloma źródłem zagłady współczesnej cywilizacji. Widzów przyciągnęły do kin wymyślne jak na owe czasy efekty specjalne. Jak widać, temat, który von Trier podjął w „Melancholii”, nie jest obcy duńskim filmowcom.

Równie wielkim hitem była superprodukcja **„Czarownica” Benjamina Christensena** z 1922 roku. Christensen porzucił studia medyczne dla opery. Studiował aktorstwo i brał lekcje śpiewu; udało mu się wystąpić nawet w „Don Giovannim”. Śpiewakiem nie był wybitnym, za to sprawdził się jako aktor niemy. Zainteresował się scenopisarstwem i reżyserią. Ponieważ chciał sam produkować swoje filmy, zajął się też importem szampa do Danii; a zarobione w ten sposób duże pieniądze inwestował w kino. Jednak „Czarownica” przerastała jego możliwości i po pieniądze udał się do Szwedów. Nic dziwnego – film miał prezentować dzieje czarnej magii i satanizmu w Europie. W zamyśle miał to być film artystyczno-naukowy, co sugerował podtytuł: „Wykład z historii kultury w żywych obrazach”. Niestety, Christensen oparł się na nieaktualnych w latach 20. teoriach XIX-wiecznych, więc w gruncie rzeczy wyszła mu fantastyczna docudrama z niesamowitymi efektami specjalnymi, takimi jak lot hordy czarownic nad miastem. Sam reżyser nie odmówił sobie przyjemności zagrania postaci Szatana, który uwodził piękne niewiasty i paradował z nagim torsem.

Reżyserem o chyba najbardziej nieposkromionej wizualnej wyobraźni był jednak **Forest Holger-Madsen**. Jego wyróżnikiem była ideologia, którą naiwnie i topatologicznie serwował widzom. Holger-Madsen był żarliwym pacyfistą, a pacyfizm ten podawał często w sosie religijnym. Kino religijne było zresztą domeną Duńczyków w dobie filmów niemych za sprawą genialnego Carla Dreyera – aż szkoda, że nie sięgnął on nigdy po porządne wątki science fiction. Pacyfistyczne zapędy widać nawet w tytułach filmów Holger-Madsena: „Złóż broń”, „Pax aeterna”, „W stronę światła”. Nic dziwnego, że tak nierealne w czasach wielkiej wojny poglądy prowadziły reżysera ku wątkom jeśli nie religijnym, to właśnie utopijno-fantastycznym, z lekką nutką feministyczną. W filmach Madsena zwykle pojawiała się postać kobieca,

„UJARZMIENIE”

WYDAWNICTWO OTWARTE

W JAKIEJ KLASYCZNEJ POWIEŚCI SF, NAPISANEJ W LATACH 70-TYCH POJAWIAJĄ SIĘ STREFY, POZOSTAWIONYCH PRZEZ OBCYCH?



Strefa X nadal broni swoich tajemnic. Southern Reach, podupadająca rządowa agencja, do kolejnej próby zbadania terenu przydziela Kontrolera. Dla Johna Rodriguez, śledczego po przejściach, to ostatnia zawodowa szansa. Poczynania nowego szefa nadzoruje tajemniczy Głos domagający się regularnych raportów. Okazuje się, że nie tylko w Strefie X działają siły zmieniające ludzki umysł. Czy mężczyzna będzie w stanie je ujarzmić?

Nie wierz zmysłom. Strefa X zmienia każdego.

Wśród czytelników, którzy do końca lipca nadeślą poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 5 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Otwarte.

„WITAJCIE W ROSJI”

WYDAWNICTWO INSIGNIS

JAKI POLSKI AUTOR JAKO PIERWSZY NAPISZE POWIEŚĆ W UNIWERSUM METRO 2033?



Co kryje się za roszadami na szczytach władzy? Czym tak naprawdę kieruje się Rosja w swojej polityce wewnętrznej i zagranicznej? Kim są ludzie u sterów państwa? Jakimi sposobami podporządkowują sobie szarych obywateli? O tym wszystkim – między innymi – przeczytacie w nowej książce Glukhovskiy'ego Witajcie w Rosji.

Witajcie w Rosji to iście wybuchowa mieszanka: fikcja miesza się tu z rzeczywistością, satyra i ironia sprawiają, że czytelnik nie wie, czy śmiać się, czy płakać, a wszystko to w ulubionej przez Glukhovskiy'ego konwencji science fiction.

Wśród czytelników, którzy do końca lipca nadeślą poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 5 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Insignis.

„ALDEBARAN”, „BELEGEZA”

WYDAWNICTWO EGMONT

KTO BYŁ PIERWSZYM WYDAWCĄ ORYGINAŁU KOMIKSU „ALDEBARAN”?

Cykl komiksowy SF, którego scenarzystą i rysownikiem jest znany brazylijski twórca komiksowy LEO.

Brak komunikacji z Ziemią sprawił, że rozwój technologiczny kolonii na Aldebaranie został zatrzymany. Młodzi ludzie ze zniszczonej przez morską bestię wioski wraz ze ściganymi przez rząd naukowcami starają się rozwikłać tajemnice dziwnych zjawisk nawiedzających wyspy Aldebarana.

O ile na Aldebaranie w końcu udało się stworzyć dobrze prosperującą kolonię, to na Betelgezie sytuacja wygląda znacznie gorzej. Katastrofie uległ statek pełen osiedleńców i nie wiadomo, czy komuś udało się przedostać na planetę. Z Aldebarana zostaje wysłana misja rozpoznawcza, w której

EGMONT
Polska

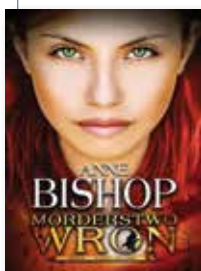


składzie znajduje się Kim Keller, młoda bohaterka serii. Dlaczego właśnie ją powołano do tej misji?

Wśród czytelników, którzy do końca lipca nadeślą poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 5 laureatów, z których każdy otrzyma dwa komiksy ufundowane przez Wydawnictwo Egmont.

ROZWIĄZANIA KONKURSÓW Z NUMERU 05/2014 „NF”

„Morderstwo wron” Wydawnictwo Inicjum



Dar jasnowidzenia Meg Corbyn ujawnia się, kiedy rozetnie sobie skórę i zobaczy krew.

Kamil Kuźbicki - Lubicz Górny
Paweł Bogusław - Katowice
Agnieszka Mironczuk - Chorzów
Paweł Rafałowicz - Białystok
Jacek Górski - Warszawa

„Krwawy szlak” Wydawnictwo Egmont



Moira Young, autorka książki „Krwawy szlak”, jest narodowości kanadyjskiej

Marek Gratkiewicz - Chojnice
Agnieszka Owczarzak - Koszalin
Michał Gruszecki - Kęty
Paulina Kożuchowska - Bydgoszcz
Paulina Kuchta - Chranów

„Conan Barbarzyńca”, „Thorgal” Wydawnictwo Sound Tropéz



Na pierwszym audiobooku, nagrany w Polsce w połowie lat 30., znalazły się utwory Adama Mickiewicza.

Krzysztof Hofman - Leszno



Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
76 1140 1977 0000 2542 6100 1006

PYTANIA DOTYCZĄCE PRENUMERATY:

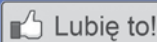
- TELEFONICZNIE: (w godz. 8.00–16.00): 22 27 81 727
- LISTOWNIE POD ADRESEM: Prószyński Media Sp. z o.o.,
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
- LUB NA ADRES E-MAILOWY: prenumerata@proszynskimedia.pl

ZASADY PRENUMERATY:

- prenumeratę należy zamawiać z co najmniej miesięcznym wyprzedzeniem od pierwszego zamawianego numeru na okres 12 miesięcy
- reklamacje należy zgłaszać w ciągu dwóch miesięcy
- koszty manipulacyjne związane z dokonaniem wpłaty w banku lub na pocztę ponosi zamawiający.
- książka będzie wysłana z najbliższą wysyłką prenumeraty.

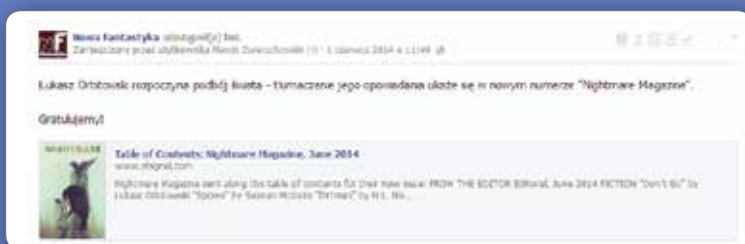
Uprzejmie informujemy, że dokonując wpłaty, wyrażacie Państwo zgodę na umieszczenie swoich danych osobowych w bazie danych Prószyński Media Sp. z o.o. – wydawcy „Nowej Fantastyki”, z siedzibą w Warszawie, ul. Rzymowskiego 28, oraz na korzystanie z nich i przetwarzanie w celach marketingowych i promocyjnych. Prószyński Media Sp. z o.o. może udostępnić te dane innym podmiotom w celach dotyczących promocji produktów tych podmiotów. Podanie przez Państwa danych jest dobrowolne i przysługuje Państwu prawo dostępu do treści swoich danych oraz ich poprawiania. Prószyński Media Sp. z o.o. zapewnia ochronę danych zgodnie z Ustawą z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (tekst jednolity Dz.U. Nr 101 z 2002 r., poz. 926 z późn. zm.).

polub nas
na facebooku



- wywiady
- recenzje książkowe
- nowości filmowe
- opowiadania

Fantastyka
NOWA



WWW.FANTASTYKA.PL

POZNAJ FANTASTYKĘ Z NAJLEPSZEJ STRONY

START OPOWIADANIA KSIĄŻKI CZASOPISMA HYDE PARK REDAKCJA



Fantastyka
NOWA

PORTAL MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI

ZALOGUJ SIĘ

ZOBACZ
NOWY WYGLĄD
I PRZETESTUJ
FUNKCJONALNOŚĆ

SKORZYSTAJ ZE
STALE AKTUALIZOWANEJ BAZY
DANYCH WYDANYCH W POLSCE
KSIĄŻEK FANTASTYCZNYCH

ZAMIEŚĆ
SWOJE
OPOWIADANIA,
ARTYKUŁY, RECENZJE

WEŹ UDZIAŁ
W DYSKUSJACH
POD TEKSTAMI
W HYDE PARKU

Fantastyka
NOWA

ADRES REDAKCJI:

ul. Rzymowskiego 28
02-697 Warszawa
Faks 22 27 81 775

E-MAIL:

nowafantastyka@fantastyka.pl

WWW.FANTASTYKA.PL

Wydaje Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28,
02-697 Warszawa

Prezes zarządu:
Maciej Makowski

Dział Promocji i Reklamy:
Artur Kaczorek, tel. 22 27 81 717
arturkaczorek@proszynskimedia.pl

Druk i oprawa:
ORTIS Sp. z o.o.,
86-050 Solec Kujawski, ul. Brukselska 8

Kolportaż:

Firma 2M Magdalena i Marek Szwed
ul. Poznańska 484, 05-850 Koprk
tel (22) 245-45-52

REDAKCJA:

Jerzy Rzymowski
redaktor naczelny/dział publicystyki
jerzyrzymowski@fantastyka.pl

Maciej Parowski
ojciec redaktor
maciejparowski@fantastyka.pl

Michał Cetnarowski

Dział Literatury Polskiej
michalacetnarowski@fantastyka.pl

Marcin Zwierchowski

Dział Literatury Obcej
marcinzwierchowski@fantastyka.pl

Katarzyna Osowiecka

Dział Graficzny
katarzynaosowiecka@fantastyka.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych,
w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo
do dokonywania zmian i skrótów. Za treść reklam
nie odpowiada.

STALI WSPÓŁPRACOWNICY:

Krystyna de Binzer, Wojciech Chmielarz, Paweł
Deptuch, Marek Grzywacz, Agnieszka Haska,
Andrzej Kaczmarek, Rafał Kosik, Joanna
Kulakowska, Bartłomiej Łopata, Waldemar
Miaśkiewicz, Rafał Śliwiak, Łukasz Orbitowski,
Bartłomiej Paszyk, Przemysław Pieniążek,
Piotr Piękosz, Wawrzyniec Podrzućki, Jerzy
Stachowicz, Peter Watts, Jakub Winiarski,
Tymoteusz Wronka.

Dlaczego w Westeros nie ma islamu?
Bo przyszedł Góra do Mahometa.